

Prolog

Willa Beckshaw

Po kilkunastu minutach dotarłem na miejsce. Zaparkowałem swojego starego czerwonego sedana nieco dalej, obok zardzewiałego blaszanego garażu. Wyciągnąłem ze schowka szkocką, wysiadłem z samochodu i biorąc kilka głębokich łyków, zastanowiłem się raz jeszcze, czy to na pewno konieczne. Porąbany pomysł... Włamywać się do rodzinnego domu swojej żony z powodu jakiejś durnej, niesprawdzonej plotki. To nie mogło być prawdą. Nie chciałem w to wierzyć. Nie po tych wszystkich wspianiałych chwilach, jakie razem przeżyliśmy.

Wahałem się do ostatniej chwili, tworząc w myślach zupełnie inny, mniej drastyczny sposób rozwiązania tej sytuacji. Gdyby tylko Frank choć trochę darzył mnie sympatią, wprosiłbym się pod pretekstem rozmowy o interesach, a on ugościłby mnie jak syna, serwując wyborny rocznik wytrawnego czerwonego wina, którego pełno w jego piwniczce. W dogodnym momencie przeszukałbym jej pokój. Świadomość jednak do mnie wróciła. Jej rodzice mnie nienawidzą. Już nawet nie starałem się tego zmieniać.

Przyszedł ten czas. Wziąłem głęboki wdech i przechyliłem butelkę whisky do pionu, opróżniając nektar dodający odwagi. Założyłem czarne skórzane rękawiczki i kominiarkę w takim samym kolorze. Z bagażnika zabrałem jeszcze, na wypadek komplikacji, mały, poręczny łom. Byłem gotowy.

I nagle w bezgłośnie noc ze środka samochodu wydobył się znajomy dźwięk. Czyżby to nerwy sprawiły, że się przesłyszałem? Otworzyłem drzwi samochodu. Telefon wibrował tą samą melodią, która przed sekundą była dla mnie tylko złudzeniem. Spojrzałem na wyświetlacz. Emily. Odebrać czy nie? Nacisnąłem zieloną słuchawkę z nadzieją, że szybko ją sptawię. Przystawiłem telefon do ucha.

– Gdzie jesteś? – zapytała zaspanym głosem.

– Dostałem nagłe zlecenie, musiałem szybko wyjść, nie chciałem cię budzić – powiedziałem, starając się zachować stoicki spokój.

– Poczekaj chwilę, Hope się obudziła! – krzyknęła głośno.

Milczałem i stałem dalej na jezdni przy samochodzie, zamiast się rozłączyć i przejść do działania, zanim się rozmyślę, stchórzę i wszystko diabli wezmą. Po chwili ponownie usłyszałem jej głos.

– Chris! Już jestem, udało mi się ją ukołysać. Kiedy wrócisz? Mam ochotę na coś bardzo niegrzecznego – rzekła kuszącym tonem i zaczęła mnie uwodzić, jęcząc do słuchawki.

– Nie czekaj na mnie, wrócę późno – odpowiedziałem zniechęcająco.

– Masz tu zaraz być, będziemy się pieprzyć! – wrzasnęła, jakby opętał ją jakiś demon rozpusty.

– Co się stało!? Nigdy tak do mnie nie mówiłaś... – Rozłączyła się, nie dając mi dokończyć. Zamiast jej głosu usłyszałem rechoczące żaby z pobliskiego jeziora.

„Możesz sobie grać szurniętą sukę, niedługo to się skończy”, pomyślałem. Wyobraziłem sobie to, czego mogę się za chwilę dowiedzieć. Chciałem opluć ją jadem, ale już kilka sekund później było mi wstyd. Przecież nic tak naprawdę nie wiem, to może być tylko szydercza plotka. Cholera, Emilly. Moja dzika i słodka Emilly.

Jeszcze bardziej podenerwowany, ukrywając się pod zastoną ciemności, wybujałych drzew i gęsto padającego deszczu, przeszedłem kilka metrów przy ogrodzeniu, aż przed moimi oczami ukazała się wielka metalowa brama do Willi Beckshaw. Przeskoczyłem przez płot i skradając się przy murach domu, okrążyłem go, sprawdzając, czy aby na pewno nie zastanę nikogo w środku. Było pusto i ciemno. Stałem przed frontowymi drzwiami, jakbym wchodził do własnego domu.

Z kieszeni swojej skórzanej kurtki wyjąłem podstępnie zdobyty klucz, który dorobiłem u ślusarza, płacąc mu więcej, aby nikomu nie zdradził, że kiedykolwiek się widzieliśmy. Teraz jeszcze tylko kod od alarmu. Gdzie jest ta przeklęta kartka? Jest! Szybko, zostało dwadzieścia sekund. Wstukałem odpowiednią kombinację, czyli dwa–cztery–sześć–pięć–trzy–dwa, i zatwierdziłem. Było tak cicho, że słyszałem swoje serce, które w momencie oczekiwania na akceptację kodu biło mocno jak dwumetrowy miedziany dzwon roznoszący dźwięk w promieniu kilkuset metrów. Alarm wyłączony. Stałem w holu głównym. Rozejrzałem się i wszedłem na piętro.

– Gdzie ona to położyła? Gdzie to jest? Gdzie to może być? – pytałem głośno sam siebie, przeszukując dawny pokój Emilly.

Wtedy było ciemno, mógłbym jednak przysiąc, że odłożyła to przy tej szafie. Otworzyłem po kolei wszystkie szuflady. Pusto. W szafie też nic. Przeszukałem cały regał – żadnego śladu. Zaciągnąłem zastony i zacząłem dyskretnie świecić latarką po pokoju. Mój wzrok i snop światła zastygły w bezruchu. Przy kominku zauważyłem końcówkę czerwonej wstążki, jaką owija się prezenty na specjalne okazje.

– Jak ona to tam włożyła? Spryciula! – krzyknąłem ze zdumienia, po czym uciszyłem sam siebie. Czyżby miała jakąś metalową półeczkę w kominku? Prowadzony czerwoną wstążką, wsunąłem rękę w czarny wąski murowany tunel, coraz głębiej i głębiej w górę. W końcu pod palcami poczułem gładką powierzchnię. Wymacałem kształt przedmiotu. Niewielka paczuszka zawinięta w reklamówkę. Szarpnąłem mocniej i wyciągnąłem czarne od sadzy znalezisko. Rozdarłem papier, którym było owinięte. Rozwiązałem czerwoną wstążkę. Położyłem dłoń na złotej pokrywie i delikatnie spróbowałem ją zdjąć. W głowie pojawiły się tysiące myśli. Co tam znajdę? Może lepiej nie zaglądać? Czy mam odejść i zapomnieć? Bałem się, że te bzdury okażą się prawdą. Wściekłość zagłuszyła jednak rozpaczą, a ciekawość wygrała. Uniostem pokrywę.

W tym samym momencie usłyszałem, jak na niższym poziomie domu otwierają się drzwi. Pstryknięcie włącznika od światła. Pomarańczowe promienie przedostały się pod drzwiami do pomieszczenia, w którym byłem.

– O kurwa! – wykrzyczałem bezgłośnie. Narastające napięcie nie dawało racjonalnie myśleć. „Kto to jest? Przecież wyjechali, nie powinno ich tu być!”, myślałem gorączkowo. Zbliżyłem się do drzwi i wstrzymując oddech, lekko popchnąłem je palcami. Wyrzałem przez cienką szparę. W ciemnym korytarzu nikogo nie było. Mokrymi od potu dłońmi uchylilem drzwi szerzej, tak bym mógł się precyzyjnie. Wyszedłem i powoli zbliżałem się do schodów. Nagle gwałtownie się zatrzymałem. Zobaczyłem cień postaci, która szła wprost na mnie. Ktoś właśnie wchodził po schodach!

Wycofałem się i ukryłem w pokoju ze stołem bilardowym. W tym pośpiechu zapomniałem, że jego ściany są przeszkłone i widać mnie jak na talerzu, na którym leży specjalność dnia – soczysty, krwisty stek. Jeśli ten ktoś spojrzy w moją stronę, z pewnością mnie zobaczy. Przez chwilę głowiłem się, kto to może być. Z cienia wyłoniła się starsza pani. Gospoś? Co ona tu robi?

Nie dostrzegła mnie. Skoro była teraz na górze, miałem szansę, żeby się przedrzeć. Ponownie zbliżyłem się do schodów i... usłyszałem jej szept. Ukrywając się w cieniu, podszedłem nieco bliżej. Rozmawiała z kimś.

– Proszę, przyjdźcie jak... W moim... ktoś jest... – wybełkotała cicho i niezrozumiale. Zadzwoiła na policję, to było oczywiste.

Musiała usłyszeć, jak gadam sam ze sobą i hałaśliwie łażę po domu. „Już po mnie”, pomyślałem.

Dwie minuty później niebo rozbłysło na niebiesko, a głucha cisza zamieniła się w śpiew policyjnych syren. Wróciłem do pokoju i niezdarnie zabarykadowałem drzwi.

„Myśl! Myśl! No myśl! Jak się wydostać?! Co teraz zrobić?!”